Cena 60 gr. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

WOLNOMYŚLICIEL POLSKI



DZIESIĘCIODNIOWIEC

ROK 7 WARSZAWA — 1934 — 1 PAŹDZIERNIKA NUMER 33

REDAGUJE KOMITET

Młody Bismarck i jego przeżycia religijne

Bismarcka znamy pod kątem jego niechęci do Polaków, której oczywiście nie przeszkadzała jego przelotna i czysto zmysłowa miłostka dla jakiejś polskiej włościanki na Pomorzu, t. j. znamy go pod kątem należnej mu wzajemnej nienawiści polskiej, jako zasłużonej odpłaty. Jest to znajomość praktyczno-polityczna, psychologicznie tedy niemal żadna, pozbawiona głębszego wniknięcia w jego wnętrzną istotę. Lubo znamy go, jako Żelaznego Księcia, który w ogniu wojen z Austrją i Francją wykuł, jako dobrowolny sługa swego królewskiego pana, panujący wolą swego politycznego geniuszu nad nim, koronę cesarską Niemiec dla opornego w swoim egoizmie prusackim Wilhelma, a obficie przelaną krwią obcych i swoich skleił w Wersalu jedność państewek niemieckich — a i to jest znajomość tylko dziejowa, historjozoficzna, która nie domyśla się dziwacznych przeżyć subjektywnych, wahań wewnętrznych, dreszczów trwożnego sumienia, płaczliwych nocy tegoż Bismarcka w przeddzień rozstrzygających bitew i dyktowania twardych warunków pokoju pobitemu nieprzyjacielowi. Znamy wreszcie Bismarcka, jako męża stanu, niezłomną oporę władzy monarchicznej, zwolennika tradycji konserwa-

tywnej i mierzymy go częstokroć — zwłaszcza z bieguna przeciwnego, liberalnego poglądu — tylko miarą polityczną, a to znowu jest znajomość partyjno-polityczna, nieraz jednostronna, gdyż pomija ona szersze rzuty przewidującej myśli politycznej tego genjuszu praktycznego, potrafiącego pewnego dnia wchodzić w pertraktacje z wodzem mas ludowych, Lassallem i stwarzającego w charakterze tamy przeciw rewolucji bądź projekty rozszerzonego prawa głosowania, bądź metody kateder-socjalizmu, ku zgorszeniu zaślepieńców z partji konserwatywnej, która poczytywała go za swojego człowieka i burzyła się, gdy jej wolę swoją wolą łamał. I tu znowu okazuje się, że nie znamy Bismarcka-człowieka.

Niesłychanie subtelny i sumienny pisarz niemiecki, Ludwig, wielki plastyk charakterolog, autor „Napoleona", w kapitalnem przeszło 500-stronicowem dziele, rozpadającem się na pięć ksiąg pod tytułami: „Błądzący", „Dążący", „Budujący", „Panujący" i „Wygnany" — po raz pierwszy na podstawie obszernego materjału autentycznych dokumentów, prywatnej korespondencji i akt historycznych maluje nam, a raczej odkrywa wnętrzną istotę Bismarcka-człowieka. Sprawia nam przytem tysiące niespodzianek, ukazując w nim niezmiernie zagadkową naturę, pełną mnóstwa sprzecznych rysów, rozwijającą się zwolna na szlakach zawiłych ze smutnego dziecka, znajdującego się pod twardą i niedbałą opieką niekochanej matki, z nieposkromionego bursza-awanturnika i pojedynkowicza, z młodzieńca, to rozmiłowanego w burzach bajronistycznej namiętności, to targanego niewiarą, weltszmercem, poczuciem nicości życia, jeszcze na wstępie wieku dojrzałego — to porywającego się w marzeniach do jakichś czynów szaleńczych, nieziszczalnych, rewolucyjnych, to przygasającego w d o l c e f a r n i e n t e pańskich wygód, w apatycznem lenistwie, we wzgardzie dla świata, ludzi, karjery, zajęć praktycznych, — w ów znany nam z historycznej trybuny typ zakutej w pancerz potężnej woli praktycznej, stawiającej sobie dalekie, ale zawsze możliwe do ziszczenia cele, optymistycznej pogody, rozkazującej życiu swojego narodu, pełny umiaru w marzeniach, a nieprzebierający w środkach, niezmordowany w pracy, władny genjusz zdrowego rozumu.

A tu właśnie oczekuje nas psychologiczna zagadka, skreślona przekonywająco piórem Emila Ludwiga: ów optymizm człowieka, który osiągnął, zda się, wszystko w życiu — sławę, bogactwo, dostojeństwa, swoje cele polityczne, pozostaje maską, pod którą jeszcze w wieku późnej starości ukrywają się, bądź nabyte zamłodu, bądź odziedziczone, rysy awanturnika, frondera, wiecznie niezadowolonego z siebie i z wszystkich romantyka, bajronisty, histeryka, mizantropa, nerwowca, aczkolwiek obdarzonego atletyczną budową i niepomiernym apetytem. Ilości dziczy, wina i piwa, które pochłaniał Bismarck, tak samo nie dają się obliczyć, jak ilość wypalanych przezeń cygar.

Jest tu jeszcze jeden dziw. Dr. Stanisław Gościcki w swojem dziele o „Zagadnieniach metafizyki“[1]) czyni trafną uwagę: „Jednostki energiczne, żądne czynu zwrócone całe ku światu wewnętrznemu i działalności wewnętrznej... posiadają zazwyczaj bardzo ograniczoną samowiedzę. Gdybyśmy mogli zajrzeć do jaźni wielkich wynalazców, przemysłowców, polityków, władców, bylibyśmy zdziwieni, jak mało znają samych siebie. Zagłębianie się w sobie jest dla nich nietylko zupełnie zbędne, ale byłoby nawet — przeszkodą w ich działalności. Badanie własnej jaźni to zajęcie teologów, filozofów, psychologów i... neurasteników“. Otóż mąż czynu, „Żelazny książę“ — bodaj narówni z Napoleonem — stanowi zajmujący wyjątek z tej zasady. Zwłaszcza za młodu i wogóle w pierwszej połowie swego długiego żywota dręczy się on samoanalizą, skrupułami sumienia, zanim podda nerwy — przynajmniej przed oczyma świata — pod karb swojej napiętej woli. Ten wielbiciel poezji Bajrona i... miłośnik Spinozy w młodych latach w swojej korespondencji zwłaszcza do kobiet (hołdował wielu zamłodu) i do narzeczonej, a późniejszej żony, okazuje się pierwszorzędnym stylistą, chwilami poetą, twórcą soczystej i obrazowej prozy, podług Ludwiga, nieraz sięgającej wyżyn Goethego.

Jest rzeczą niemożliwą, a na tem miejscu byłoby zbędną, podawać pełną charakterystykę ewolucji Bismarcka na zawiłych szlakach jego bogatej w szczegóły politycznej karjery i całości jego różnobarwnych duchowych przeżyć — niepodobna bowiem skreślić w przygodnym artykule pół tysiąca stronic dzieła Ludwiga; ciekawych odsyłamy do przekładu, który z naszej ręki ukaże się na półkach księgarskich. Pracę niniejszą podjęliśmy w specjalnym celu — pragniemy skreślić dla „Wolnomyśliciela“ wyłącznie niezmiernie zajmujące przeżycia religijne młodego Bismarcka. Okaże się stąd, że to, co było swoiste dla dusz św. Augustyna, Pascala, Amiela, Milla, lub naszego Wł. Dawida — nie ominęło i Bismarcka. Okaże się, że i ten — tak z pozoru trzeźwy i jasny umysł ulegał chwilami owemu obłędowi religijnemu, którego spadek fatalny pozostawił światu aryjskiemu na podstawach hipnozy religijnej „wybranego ludu“, acz w twórczej i podnioślejszej, niż prymitywy judaizmu, mistycznej przeróbce św. Paweł, a który wypadło przezwyciężać z takim mozołem i bez ostatecznego skutku najgienjalniejszemu z umysłów semickich, zwalczają

[1]) W roku zeszłym wyszło w Poznaniu dzieło dr. S. Gościckiego p. t.: „Zagadnienia metafizyki“ studjum filozoficzno-psychologiczne. Część I. O związku pojęć: Natury, Bóstwa i Jaźni. Cz. II „O czynnościach niepamiętalnych“ (str. 350). Stanowi ono wielki dorobek samodzielnej myśli filozoficznej w ubogim pod tym względem (samodzielności) filozoficznem piśmiennictwie polskiem, a może dlatego, że jest tak wartościowem — nie zostało dostrzeżonem przez naszą krytykę, a to w myśl panującej u nas stale zasady niedoceniania prawdziwych wartości i przeceniania rzeczy marnych. O tem dziele zamierzamy wkrótce dać sprawozdanie w „Wolnomyślicielu“ (P. A.).

cemu wizje semickie, Spinozie. Nadto przy badaniu przeżyć religijnych Bismarcka uda się nam — dzięki informacjom Ludwiga — rzucić ciekawe światło na religijne przeżycia jego epoki, ludzi jego czasu, tej warstwy społecznej, do której należał — czyli światło na współczesną mu ciemnotę, posiadającą frapujące analogje z przeżyciami duchowemi arystokracji rzymskiej, podlegającej zaraźliwemu tchnieniu z chrześcijańskiego wschodu — ciemnotę, nie ustającą w hipnozie po dzień dzisiejszy. — Niestety, i ten temat, który podejmujemy, jest tak bogaty w szczegóły, że daje się tu nakreślić jeno w zarysach ogólnych.

W okresie swojej konfirmacji, a zatem mniej więcej w szesnastą rocznicę urodzin, Bismarck (urodzony w roku 1815-ym) czyni przed sobą w notatkach następujące zwierzenie: „Stało się tak, że nie przez obojętność, jeno w skutek dojrzałego przełożenia sobie, zaprzestałem się modlić co wieczór, jak to było moim zwyczajem od dzieciństwa. Albowiem modlitwa wydała mi się sprzeczną z moim poglądem na istotę bóstwa, powiedziałem sobie, że albo bóg dzięki swojej wszechobecności, stwarza również każdą myśl moją i wolę... albo, jeżeli wola moja jest niezależną od woli boga, to zawierałoby się w tem pewne zuchwalstwo, gdyby uwierzyło się, że sama prośba ludzka może wywrzeć wpływ na tamtą".

Rozumowanie to dowodzi potęgi myślenia w tak młodocianym wieku. Biograf Bismarcka zaopatruje rzecz tę nadto w subtelny komentarz. „Zdumiewającą jest tu tylko motywacja. Albowiem, że wychowywano go w niewierze, a on sam był nazbyt sceptykiem, iżby z samego siebie stał się niewierzącym, to tkwiło już w nim i jego rodzicach". (Wpływy francuskiego oświecenia z końca XVIII wieku). Ale jego dowodzenie, — a daje je w latach młodości, wskazuje już w nim dumnego realistę, który postawionej nad nim mocy udziela tylko tyle miejsca, ile go sam stosunek wymaga. Ten młodzieniec gruntuje swój nihilizm, gdy unika boga przez otwarte zaprzeczenie, a równocześnie — prawdziwy dyplomata! — narzuca mu odpowiedzialność za to, że nadal modlić się doń nie może; nadaje sobie pozór lojalności, pod którą czyha szyderstwo, a zarazem przez swoje: „albo—albo" stawia boga przed alternatywą, do której ów bodaj nie był przyzwyczajony. Podany wyżej hołd względem boga nie umniejsza poczucia własnej godności. Tak oto Bismarck staje poraz pierwszy przed królem".

Ta subtelna uwaga, która analogizuje postawę Bismarcka wobec władzy boga z jego postawą polityczną wobec trzech monarchów, którym służył w myśl zasady: „Szanuję władzę suwerenną, ale robię tylko to, co mnie się podoba" — aż na tej zasadzie potknął się przy stosunku z trzecim monarchą, ostatnim Wilhelmem, pragnącym narzucić mu swoją władzę, a naówczas zerwał z nim i w dumnem milczeniu ustąpił — stanowi subtelną różnicę (polityczną) pomiędzy postawą

Bismarcka wobec boga i postawą filozoficzną Spinozy, który również uznaje istność bóstwa i zarazem podobnież odrzuca modlitwę, jako zbędną mędrcowi, wiedzącemu, że wszystko dziać się musi tak, jak się dzieje. Spinoza zezwala na modlitwę potrzebującym jej, jako pociechy psychologicznej, działającej jednak tylko nawewnątrz, a nie na nieubłagany porządek zdarzeń świata.

Już później, w starszym wieku, sięga Bismarck celem umocnienia swojej myślowej postawy do „Etyki" Spinozy, szukając w filozofji ukojenia po burzach namiętności i melancholji, które owionęły go wraz z duchem poezji Bajrona.

Pomińmy okres jego rozwoju śród awanturniczych przygód w podróży, prób znalezienia urzędu, godnego jego szlacheckiego pochodzenia, ucieczek z zajmowanych krótko stanowisk, jako że nie znosił przełożonych nad sobą, uchylań się od służby wojskowej, gdzie również byłby zmuszony ulegać czyimś rozkazom, powrotów do zacisza wiejskiego. Odnajdźmy Bismarcka w momencie, gdy jest z własnej woli niczem, nie ma żadnych praktycznych zamierzeń, stroni od życia publicznego, a liczy wówczas już lat przeszło trzydzieści.

Staje przed nami w tym momencie, mówiąc słowami Ludwiga, jako „człowiek, który przeczuwa w sobie urodzonego dyktatora, nienapędzany ani przez wierność względem króla, ani przez bojaźń wobec boga, ani przez miłość ojczyzny, ani przez odpowiedzialność przed masą ludzką; wielki solista, gardziciel tłumu, szermierz, który z całym swoim rewolucyjnym niepokojem wyczekuje przemiany: awanturnik, który tem, co istnieje wzgardził, jako tem, co stoi, którego nerwowa energja pragnie raczej zmienić, niżli rządzić, albo rozkazywać według własnego poglądu, a nie ścierpieć nad sobą nikogo". Dodajmy nadto, że rozczarował się już i do miłości, po zaręczynach potrójnych, to zaznawszy cudzej zdrady, to zrywając dany stosunek, przekonawszy się o nietrafności swego wyboru. W owym czasie pisze o sobie: „Tak oto niesiony jestem bezwolnie po życia potoku bez innego steru, niżli kaprys chwili i jest mi zgoła obojętnem, gdzie zostanę wyrzucony na ląd".

W takiej chwili styka się z Marją von Thadden, która stanie się dlań pobudką do wstrząśnień w duchu religijnym. Mieszka ona w sąsiedztwie jego dóbr dziedzicznych. W dobrach rycerskich, leżących na Pomorzu, panował od dawnych czasów pietyzm. Ojciec Marji, stary pan von Thadden na Trielgrafie, jego szwagier Ludwik von Gerlach, jego brat, generał i faworyt królewski, stary Puttkamer na dobrach Reinfeldu — wszyscy oni, zerwawszy, jako fronderzy-feodałowie dawnej daty, z rosnącym w butę dworem królewskim w Berlinie, przynieśli na Pomorze wiarę sektancką, wyprzysięgli się pruskiego „kościoła liberalnego", sprowadzili sobie pastorów zdaleka, ufali im, sami kazali u siebie w domu i po wsiach swoich, nawracali swoich najmitów, pozwalali na siebie na-

kładać pokuty; słowem, z wyjątkiem tego ostatniego, przypominali szlachtę polską, uległą w wieku XVI protestantyzmowi, a niechętną zarówno królowi, jak i urzędowemu kościołowi.

Bismarck odwiedza sąsiadów, Thaddenów, i poznaje w ich domu Marję. Marja jest pięknem o bujnych kształtach dziewczęciem, namiętnem, muzykalnem, ze zmysłowością przeidealizowaną, rozmiłowanem w mistycznych i czułych powieściach Jean Paula i w pieśniach Mendelsohna. Jest w onej chwili narzeczoną Blanckenburga, przyjaciela Bismarcka. Zachodzi rzecz wcale niedziwna; Marja rozkochuje się w Bismarcku. Nie dziwna, ponieważ 30-letni Bismarck, wielki światowy pan, o postawie wspaniałej, pięknej powierzchowności, wielokrotny zwycięsca serc kobiecych, umysł oryginalny, niezmiernie interesujący w rozmowie — „oddziałał z konieczności na nerwy zmysłowej istoty tak pociągająco jak Mefisto". To trafne zestawienie czyni Ludwig. W Fauście-Bismarcku zdaje się tkwić Mefistofeles pokusy.

Przecie peripetje tej miłości — obustronnej, albowiem Marja również oczarowała Bismarcka — poszły dziwnym szlakiem, wcale nieprzypominającym romansu Gretchen Goetheowskiej. Romansowi od strony Bismarcka przeszkodzi lojalizm przyjaźni dla Blanckenburga, od strony Gretchen zatamuje romansowość wiara religijna, poszanowanie słowa danego narzeczonemu, rzecz święta. A właściwie Mefista pokusy powstrzyma szacunek Bismarcka dla czystości tej duszy pełnej pietyzmu religijnego — wrażenie cudownej niespodzianki dla tego ex-don Juana. Powiedzmy inaczej: romans serc ukrywa się pod maską entuzjazmu religijnego, nieuświadomiony dla dziewczęcia, a bodaj i dla Bismarcka wbrew doświadczonym jego oczom. Nic ciekawszego nad peripetje tego romansu bez romansu, tej miłości, która gwałtem zwraca się na tory wiary religijnej.

Oto Gretchen-Marja von Thadden wyznaje narzeczonemu, że „wytworne ułożenie, świetność zewnętrznej i wewnętrznej istoty jego przyjaciela pociąga ją coraz bardziej", dodaje nadto, że jest jej z nim zawsze tak, „jakby stąpała po gładkiej powłoce lodowej, która każdej chwili może załamać się podemną". Dowodzi to, że poczuła niebezpieczeństwo, ale wkrótce szczęśliwa, iż zauważyła, że jest dlań „świętą", jako narzeczona przyjaciela, zaznacza w jednym ze swoich listów panieńskich: „rada jestem, że niebezpieczna śliskość, która tkwi w tym wielkim, zajmującym światowcu, już przestała istnieć dla mnie". Cóż się stało? Czemu ten człowiek, w którym wyczuwa, że jest napewno genjuszem, ale że jest zarazem bodaj djabłem" — przestał ją trwożyć? Stało się to, że ta wierząca córa pietystów, nie wyrzekająca się rozmów i zbliżenia towarzyskiego z Bismarckiem — zajęła sie z siostrzaną troską jego duszą. podjęła misję: nawrócić Bismarcka na wiarę chrześcijańską. Dzieło to podejmuje po długiej rozmowie z matką, popierającą jej szlachetny zamysł. Zyska też

aprobatę ze strony naiwnego Blanckenburga, który jest równie pobożny, jak narzeczona, a zdawna trapi się tem, iż jego genjalny przyjaciel, odpadłszy od prawdziwej wiary, trwoni szlachetne dary swego umysłu. Blanckenburg oczywiście powód zaguby tych darów przypisuje utracie wiary.

Marja jest zatrwożona stanem duszy Bismarcka, ale równocześnie pełna otuchy, iż dokona dzieła nawrócenia. Pisze do narzeczonego: „Nie słyszałam nigdy, aby ktoś swoją niewiarę, lub raczej panteizm, wypowiadał z taką swobodą i tak jasno. Znasz smutne poglądy Ottona, z któremi on czuje się tak nieszczęśliwym. Jest on niezaprzeczenie szczerym, a w tem właśnie tkwi wielka obietnica. Nadto zachował jeszcze lęk przed tym błękitnym, mglistym obrazem boga, jaki sobie utworzył. Pamięta dobrze tę noc, gdy po raz ostatni się modlił i świadomie tego zaniechał".

Marja boleje nad tem, że Bismarck odpycha wiarę innych, jako uroszczenie do słuszności tylko własnego poglądu, że nie wierzy, iżby „wielki Bóg interesował się takim pyłkiem, jakim on jest". Przeraża ją jego obojętność na ból i radość, pozbawiona oporu pustka i nuda. Wyczuwa w nim jednak „przy zupełnym braku wiary odległą tęsknotę za nią".

Powiedział do niej: „jak mogę wierzyć, skoro niema we mnie żadnej wiary; musiałaby chyba wleźć we mnie, albo bez mojej woli i przyczynienia się wychodzić ze mnie".

Wszelako w rozmowie z nią był wzburzony, purpurowy, pozostał, chociaż był proszony do sąsiadów. Wypowiadał dalej swoje poglądy, a ona miała tysiąc razy na języku — jak pisze do narzeczonego — słowa: „Ottonie! opamiętaj się, rzuć puste zapędy, rozpocznij nowe życie!"

Dok. nast. *Leo Belmont*

Rocznica I Międzynarodówki

„Ach, gdyby ludy rozum miały,
Wszystkie by się w jeden zlały".

Karmanjola, rewolucyjna
pieśń francuska z r. 1792.

W dniu 28 września r. b. proletarjat obchodził 70 rocznicę swego świadomego wystąpienia, jako organizacji międzynarodowej.

W cztery tygodnie po śmierci Ferdynanda Lassalle'a, dnia 28 września 1864 r., na wielkim wiecu w hali św. Marcina w Londynie, powstało Międzynarodowe Stowarzyszenie Robotnicze.

„Stowarzyszenie to — pisał Franciszek Mehring — nie było dziełem rąk jednego człowieka, nie było „małym korpusem z wielka głową", nie było gniazdem spiskowców. Nie

było też ani złudnym cieniem, ani jakiemś okropnem straszydłem, jak to na zmianę głosili o niem heroldowie kapitalizmu, których wyobraźnię podniecały wyrzuty nieczystego sumienia. Raczej było ono przejściową formą proletarjackiej walki wyzwoleńczej, przyczem forma ta z samej tej historycznej istoty była zarazem konieczna i tymczasowa".

Warto poświęcić parę słów rocznicy tego doniosłego faktu.

Co nadało I Międzynarodówce jej wielkie znaczenie w historji ruchu robotniczego?

Ogólna myśl międzynarodowości, połączenia mas, dążących do wspólnego celu, ożywionych wspólną ideą — wbrew granicom szczepowym, rasowym, narodowym, — odgrywała wielką rolę w dziejach ludzkości. „Międzynarówką w swoim rodzaju, która — jak wspomina Edw. Bernstein — wywarła kolosalny wpływ na rozwój dziejowy, było chrześcijaństwo z kościołem rzymskim, jako ośrodkiem; międzynarodówką w swoim czasie był również mahometanizm. Gdy nowożytne państwa narodowe zepchnęły na drugi plan papiestwo, gdy pojęcie wspólnych interesów chrześcijaństwa straciło swój urok, gdy wojny wszędzie pod wpływem handlowych interesów burżuazji przeistoczyły się z dynastycznych w narodowe, wtedy myśl międzynarodowa znalazła wyraz w kosmopolityźmie wolnomyślicieli".

Fryderyk Schiller pisał już w r. 1789 te słowa: „Marny to, pospolity ideał pisać dla jednego narodu; umysł filozoficzny nie znosi takiej granicy. Interesy ojczyste ważne są tylko dla narodów niedojrzałych, dla młodocianych lat świata".

Według historycznych danych utworzenie I Międzynarodówki sięga z jednej strony czasu londyńskiej wystawy powszechnej w r. 1862, z drugiej zaś upadku polskiego powstania Styczniowego. Nie ulega wątpliwości, że oba te wypadki wielce przyczyniły się do założenia Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotniczego, ale ani jeden, ani drugi bezpośrednio nie spowodował powstania tej potężnej organizacji. Za owoc tego dzieła uważać należy Manifest Komunistyczny, wydany w r. 1848, w którym rozległo się głośne wołanie Marxa i Engelsa: „Proletarjusze wszystkich krajów, łączcie się!" I okrzyk ten właściwie znalazł odgłos w znamiennych słowach: „Łączcie się!"

Do rozbudzenia świadomości wśród robotników przyczyniły się w znacznej mierze wypadki międzynarodowe, które w owych czasach rozegrały się na terenie europejskim. Do wypadków tych zaliczyć należy przedewszystkiem ostre przesilenie, które w r. 1857 pozbawiło pracy tysięcy robotników zatrudnionych w różnych gałęziach przemysłu, dalej wojna o zjednoczenie Włoch, zwłaszcza amerykańska wojna domowa między stanami północnemi i południowemi, która wywołała ostry kryzys na angielskim rynku bawełnianym — oto czynniki, które zwiększały płomień niezadowolenia w masach

robotniczych na zachodzie Europy. Bardziej bezpośredniemi czynnikami okazało się spotkanie robotników różnych narodowości na wystawie londyńskiej w r. 1862 oraz powstanie polskie w r. 1863.

Sprawa polska była zdawien dawna popularna w zachodnio-europejskich kołach rewolucyjnych i niejednokrotnie żywo omawiana na wiecach, zwoływanych w Londynie przez angielskich i polskich działaczy rewolucyjnych. Już wówczas wysuwano zawsze tę samą myśl, że wskrzeszenie wolnej i demokratycznej Polski, będzie zwiastunem wyzwolenia klasy robotniczej.

Bezpośrednią pobudką do mityngu, który stał się kołyską I Międzynarodówki, dało polskie powstanie styczniowe. I oto na historycznym wiecu w Hali św. Marcina dnia 28 września 1864 r. zebrali się licznie przedstawiciele różnych narowości, aby omówić sprawę polską. Przewodniczył profesor uniwersytetu londyńskiego Beesly, znany filantrop i przyjaciel klasy robotniczej. Delegat francuski Tolain odczytał adres powitalny robotników francuskich, nawiązując przedewszystkiem do powstania styczniowego, — „Znów oto Polska zatopiona została we krwi swych synów, a my pozostaliśmy tylko bezsilnymi widzami". Ale mityng ten nie ograniczył się na wyrażeniu sympatji dla Polski, lecz poruszył dalsze zagadnienia społeczne. „Polacy cierpią — wołał jeden z mówców — lecz jest prócz nich na świecie naród liczniejszy i bardziej jeszcze uciśniony — naród proletarjuszy! Niechaj na zgromadzeniu tym zabrzmi hasło wolności, niechaj echo jego doleci wszędzie tam, gdzie lud umiera z przepracowania i z głodu, gdzie żyje w nędzy i ciemnocie..." Słowa te zdobyły poklask i uznanie zgromadzenia. Po ożywionej dyskusji wybrano komitet dla szerzenia idei międzynarodowej solidarności robotniczej.

Właściwie Międzynarodówka założona została na podstawie tak zwanego „adresu inauguracyjnego" i statutu, z których jedno i drugie wykonane zostało mistrzowską ręką Karola Marxa.

Adres, zredagowany przezeń, na wstępie brzmiał jak następuje:

„Zważywszy, że wyzwolenie klasy robotniczej musi być dziełem samych robotników, że walka o wyzwolenie klasy robotniczej nie jest walką o jakieś nowe przywileje klasowe, lecz o zniesienie panowania klasowego wogóle;

„Że gospodarcza zależność robotnika od właściciela środków produkcji, a więc wszystkich źródeł utrzymania, jest podstawą niewoli we wszystkich jest postaciach: nędzy społecznej, uwstecznienia kulturalnego i zależności politycznej;

„Że ekonomiczne wyzwolenie klasy robotniczej jest wielkim celem ostatecznym, któremu wszelki ruch polityczny winien być podporządkowany jako środek;

„Że wszelkie usiłowania, zmierzające do osiągnięcia tego celu, chybiały dotychczas z braku solidarności między poszczególnemi gałęziami pracy w jednym kraju oraz z braku bratniej jedności między robotnikami różnych krajów;

„Że wyzwolenie klasy robotniczej nie jest zadaniem lokalnym, ani też narodowym, lecz ogólno-społecznym i możliwym do rozwiązania tylko w drodze praktycznego i teoretycznego współdziałania najbardziej postępowych krajów".

Adres kończy się podobnie jak Manifest Komunistyczny okrzykiem: Proletarjusze wszystkich krajów, łączcie się!

Na pięciu najważniejszych kongresach Międzynarodówki rozważano poważne zagadnienia społeczne: ochronę pracy, spółdzielczość, ruch zawodowy, sprawę wojny i reformy rolnej. Kongresy te odbywały się: w Genewie w r. 1866, w Lozannie w r. 1867, w Brukseli w r. 1868, w Bazylei w r. 1869, w Hadze w r. 1872.

W okresie swego istnienia Międzynarodówka przechodziła przez różne fazy i na terenie jej ścierały się różne prądy i wpływy zwolenników Proudhona, Bakunina i Marxa.

W r. 1868 Bakunin na terenie samej Międzynarodówki założył tajną organizację „Alliance International" („Przymierze Międzynarodowe"), w której skupiał głównie włoskich i hiszpańskich socjalistów, a obok nich także i francuskich. Aljans ten był jaskrawym wyrazem zasadniczego antagonizmu wobec Marxa. Bakunin opierał całą swą działalność na idei gwałtownej rewelucji, na wierze, że rewolucje jedna po drugiej zniosą państwo z oblicza ziemi. Marx natomiast kładł nacisk na organizowanie klasy robotniczej w partje i w związki zawodowe, uchwycenie władzy państwowej i dyktaturę proletarjatu.

Opozycja Bakunina spowowodała ostatecznie rozwiązanie Międzynarodówki. W r. 1872 Rada Generalna została przeniesiona do Nowego Yorku, aby uniknąć formalnego pogrzebania tej asocjacji robotniczej. W dniu 15 lipca 1876 r. nastąpiło rozwiązanie. „Międzynarodówka—pisał Łunaczarski—umarła jedynie po to, aby niezwłocznie w jasnym i młodym kształcie zmartwychwstać".

W. Poniecki

Sukkoth — święto szałasów

(Streszczenie pracy Reginy Lilientalowej, święto żydowskie I, 1908, str. 62—98)

Święto to obchodzone bywa od 15 do 22 dnia miesiąca tiszri, odpowiadającego mniej-więcej wrześniowi, na pamiątkę przebywania Izraela na puszczy. Było to święto rolnicze, odpowiadające trzeciemu stadjum gospodarki rolnej,

i mającemu za podstawę ostatnie dożynki doroczne, czyli zbiory jesienne, jak je określa traktat Chagiga 18a. Będąc uzupełnieniem święta Tygodni, stanowiło Sukkoth jakgdyby paralelę do Pesach, bo gdy to otwierało wytwórczość ziemi, ono zamykało całkowity plon ziemi, z niem kończył się rok gospodarczy. Zasadniczo różne, na dwóch przeciwległych stojące krańcach, musiały dwa te święta, związanie z wielkiemi fazami rolnictwa, całkiem odmienną wytworzyć obrzędowość. Święto wiosny z natury rzeczy więcej ma powagi od świąt jesiennych, a okres świąteczny pierwszej pory roku ma się tak do drugiej, jak potężne wznoszenie się do gwałtownego spadku. Z tem ostatniem świętem, po którem nastawała wielka pora wypoczynku dla ziemi i ludzi, radość bywała najpełniejsza. W sierpniu przypadało winobranie kończące się we wrześniu, zależnie od okolic Palestyny. Z natury swej wybujało to święto nad inne. Pierwotnie nie posiadało daty określonej, dopiero w księdze Leviticus XXIII 39, 34, 41 określa ją: „piętnastego dnia miesiąca siódmego, gdy zbierzecie plon ziemi". W państwie izraelskiem, np. za Jeroboama obchodzono je w miesiącu ósmym (Dt XVI 13) i tak w każdem poszczególnem miejscu zaraz po żniwach było święcone, lecz metropolja zniweczyła wszelką w tym względzie dowolność na rzecz szablonu, obowiązującego cały naród. I już owo „gdy zbierzecie plon ziemi", liczba mnoga tu użyta dowodzi zaniku indywidualizacji pierwotnej wyrażonej w słowach Dt XVI 13 „gdy zbierzesz z gumna twojego i z tłoczni twojej". Co się tyczy 15-go dnia miesiąca, to zważywszy na znaczenie pełni u starożytnych hebrejczyków łatwo pojmiemy, dlaczego, podobnie jak Pesach, obchodzono to święto w połowie miesiąca. Nietylko datę święta, ale i jego obrzędowość uległa dążności jerozolimskiego kapłaństwa, wtłaczającego całkowite życie ludu w swe teokratyczne porządki. W starych, naturalnych zwyczajach zaczęto się doszukiwać odgłosów boskich przepisów, a epizod wyjścia z Egiptu urósł do niebywałych rozmiarów. W niewoli babilońskiej zapomniano o związanym ze zbiorami obyczaju.

Naród schodził się dnia siódmego w Jerozolimie (Ezdr. III 1) naznosiwszy z gór przeróżnych ozdób liściowych, przeważnie gałęzi oliwnych, mirtowych i palm, sporządzał z nich szałasy, które ustawiał na płaskich dachach domostw, w podwórcach, placach publicznych i przysionkach świątyni (Neh VIII 15—16). Prócz przebywania w szałasach, które powstało z prostego zwyczaju rolniczego, obowiązywały wtedy jeszcze obrzędy: a) „branie" lulaba, b) arawa, c) ceremonja wody, d) uroczystość beth-haszoewa.

Branie lulaba, czyli gałęzi palmowej lub całego bukietu świątecznego polegało na tem, że począwszy od pierwszego dnia Sukkoth zjawiano się w świątyni z czteroroślinnym bukietem, którego przez cały czas trwania służby bożej nie wypuszczano z ręki. Według traktatu Sukka 3, 4, która to orze-

czenie Pięcioksięgu rozwija, winny należeć do owego splotu: jedno jabłko rajskie, jedna palma, trzy gałązki mirtu i dwie gałązki wierzbiny.

Teraz zajmiemy się wyjaśnieniem, dlaczego skład bukietu był taki, jak wyżej podano. Otóż Leviticus XXIII 40 podaje: „weźmiecie sobie dnia pierwszego owoc drzewa hadar"... Epoka talmudyczne mająca skłonność do etymologizowania wyjaśniła wyraz „hadar" (piękny) w traktacie Sukka 35a, jako drzewo rajskie, ponieważ hadar pochodząc od dur— pozostawać, przemieszkiwać, stosuje się do owocu, który pozostaje na drzewie z jednego roku na drugi — a tym jest ethrog (jabłko rajskie). Również gałązki drzewa aboth, drzewa rozłożystego traktat Sukka 32b, określa jako gałązki mirtowe, co znów zostaje w sprzeczności z ustępem u Nehemiasza VIII 15, gdzie gałęzie mirtu wyliczone są niezależnie od gałęzi drzewa aboth.

Bukiet zwykle jeszcze opasany złotym galonem po dopełnionej ceremonji uroczyście bywał odnoszony do domu.

Obrzęd „arawa" — „wierzby", t. j. pochód wierzbiny miał miejsce przez 6 lub 7 dni święta. Wierzbinę, przynoszoną co rano z wyjątkiem sabbatu, w który posługiwano się wierzbiną przynoszoną w piątek przez kapłanów z miejscowości Moza pod Jerozolimą, ustawiano przy dźwiękach surmy w ten sposób, by wierzchołkami swych gałęzi siegała ponad ołtarz, który codzień raz jeden z palmami w ręku okrążano. Dnia siódmego okalano ołtarz siedm razy, przyczem otłukiwano zdobiącą go wierzbinę. Stąd dzień ten zwał się „dniem młócenia gałęzi" (tr. Sabbath 44b), choć nosił też miano Hoszana rabba, t. j. wielka hoszana, jak po dziś dzień lud nazywa siódmy dzień Sukkoth, od refrenu Hoszana (— dopomóż, zbaw) powtarzającego się w czasie tego obrzędu.

Szczególnem upodobaniem cieszyła się u ludu palestyńskiego ceremonja „lania wody" (nasich ha'maim), dopełniająca się z wielką ostentacją podczas porannego nabożeństwa, przez 7 czy też 8 dni Sukkoth.

Wczesnym rankiem udawali się kapłani do źródła Sziloach, z którego złotem naczyniem czerpali wodę. W powrocie, gdy zbliżali się do Wodnych wrót świątyni, witały ich dźwięki surmy. Kapłan, wszedłszy na stopień ofiarnicy, zwracał się na lewo, gdzie znajdowały się 2 srebrne czasze, opatrzone u dołu otworami, i do jednej z nich, do zachodniej, lał wodę przyniesioną, skąd spływała do podziemia.

Uroczystość „beth-haszoewa", odbywająca się przez 5 lub 6 dni święta jesiennego, rozpoczynała się w każde południe, trwając do ranka dnia następnego. Przełożeni wyższych uczelni i najwybitniejsi obywatele kraju pląsali z gorejącemi pochodniami, klaszcząc w dłonie i przytupując, gdy lewici nucąc psalmy („pieśń stopni") trzymali narzędzia muzyczne.

Poza wyszczególnionemi ceremoniami obowiązywał jeszcze przez 8 dni święta „Hallel" (hymn świąteczny), podczas

którego zwracano właśnie trzymany w ręku „lulab" na cztery świata strony na znak rozpościerającego się wszędzie błogosławieństwa bożego i składano ofiarę pokoju.

Z siedmiu dni, podczas których obchodzono święto, wyróżnionym był jako pora całkowitego wytchnienia dzień pierwszy.

Szałasy, to niegdyś istotne, letnie mieszkania rolników palestyńskich. Przenosząc się w góry, w okresie winobrania i wiodąc wtedy sielsko-obozowe życie, szukali oni schronienia przed spiekotą słoneczną w owych przenośnych budowlach.

Z roślin, wchodzących w skład bukietu, jest palma wielokrotnie stosowana zarówno w obrzędach, jak i zdobnictwie. Co do innych roślin, to zarówno ethrog czyli jabłko rajskie, jak wiecznie zielony mirt i świeże gałązki wierzbiny nadrzecznej, związane były niegdyś z niezależnemi od siebie wzajem praktykami i dopiero sczasem zjednoczył je omawiany pęk świąteczny. Mirt poświęcony był w Grecji bogini Afrodycie. bóstwu płodności, wierzbina poprzeczna, symbol wody pozostawała w związku z deszczem, tak pożądanym w owej porze roku. Ta rola wierzbiny występowała najwybitniej właśnie w obrzędzie „arawa", którego celem było sprowadzanie deszczu, nieodzownego warunku bytu i pomyślności żydów palestyńskich. Jednym z najskuteczniejszych sposobów sprowadzania deszczu miał być obrząd „lania wody", zrodzony z naiwnego, a pospolitego w starożytności wyobrażenia, że deszcz jest dziełem bóstw „wylewających" go z nieba na ziemię z czasz, dzbanów lub puharów. W traktacie Toamith 10-a czytamy, że w niebie znajduje się rodzaj komory, z której deszcz na ziemię spada, że „klucz dżdżu", jeden z trzech trzymanych przez boga w prawej ręce (klucz dżdżu, porodu i zmartwychwstania), pewnie od tej komory bóg nikomu nie powierza i sam ziemię izraelską polewa. Lud palestyński tak wielkie znaczenie przywiązywał do owego obrzędu uzmysławiającego deszcz wyczekiwany, że raz ethrogami obrzucił kapłana, gdy ten zamiast do czary, wodę na nogi sobie wylał (tr. Sukka 3, 16).

Był to więc obrzęd ludowy, którego ślady jeszcze dziś odnajdujemy u chasydów, którzy w wigilję drugiego dnia Sukkoth wlewają sobie wzajem do szałasów wodę po przez dach (pokrycie) sukki. To też, gdy „zamknięte niebo", a stąd brak deszczu rozważano jako karę za grzechy, (II Paral VI 26), które pokutą i postem należało zmazać, by błagania zostały wysłuchane, obfitość dżdżu uchodziła za błogosławieństwo i napełniała radością. Ogałacanie z liści gałęzi wierzbowych w dniu „Wielkiej Hosanny", owo t. zw. „młócenie gałęzi", a zaścielanie liśćmi ziemi ornej, względnie posadzki świątyni, uzmysławiać miało może pole zielone od młodej runi. Zielona gałązka za dotknięciem udziela wszystkiemu swej siły żywotnej, a więc urodzajności glebie, zdrowia i mocy organizmowi

zwierzęcemu. Być może, że u hebrejczyków najlepiej do owej symboliki nadawała się wierzbina.

Taniec z pochodniami w uroczystości „beth-haszoewy" był to niegdyś magiczny środek pasterza i rolnika, mający na celu odpędzanie demonów i oczyszczanie od zła. Był stosowany na polach i winnicach. Począł służyć do popisu w świątyni, do zabawy, straciwszy żywą treść pierwotną. Okoliczność, iż cała uroczystość odbywała się w „dziedzińcu niewieścim" jak i opisane w traktacie Taanith pląsy i zaloty w winnicach — na cztery dni przed świętem Szałasów, skłaniają nas do przypuszczenia, że wielkie święto winobrania u hebrejczyków było kiedyś ostatniem schronieniem dla wyrugowanego z życia bezładu płciowego.

Pęk świąteczny, naturalny przedstawiciel roślinności, pokrywał się w miarę czasu coraz grubszą warstwą mistycyzmu, stał się symbolem pokoju, znakiem przebaczenia, drogowskazem życiowym: ethrog podobny do serca(?), siedliska rozumu, podniosły nastrój sprowadza; lulab (gałąź palmowa) prosty jak stos kręgowy naucza, że wprost do boga zwracać się należy; mirt, którego listki oko ludzkie przypominają, każe nie patrzeć tam, gdzie nie potrzeba; wierzbina, podobna do warg, napomina, by nie mówić tego, co nie należy. Te mistyczne tłumaczenia są zgoła obce ludowi.

Przez ośm dni stanowi szałas siedzibę istotną żyda. Kobiet i niewolników szałas nie obowiązuje.

Miód spożywany w szałasie symbolizuje słodki, czyli dobry rok, marchew-obfitość, ponieważ jej nazwa w żargonie jest jednobrzmiąca z wyrazem „mnożyć się". Nie spożywa się rzeczy ostrych. „Deszcz w Sukkoth to znak przekleństwa"; z namowy złego ducha bóg go wówczas zsyła. — Ta obawa deszczu, z którą spotkaliśmy się w Szabuoth, jest niezawodnym śladem niepokojów, dręczących ongi w okresie zbiorów jesiennych rolnika lub uprawiacza winnicy.

Prośby o deszcz zanoszone są także w przeddzień przed Szemini-tzereth t. j. Hoszana-rabba. Powtarzający się refren Hoszana — dopomóż, był niewątpliwie niegdyś wołaniem rolnika o opiekę dla niw. W Hoszana-rabba każdy zaopatrzony w pęczek z pięciu gałązek wierzbiny, zwanych wówczas także Hoszanoth, udaje się do synagogi, gdzie dopóty je otrzaskuje o krawędź ławki lub o podłogę, dopóki ich zupełnie z liści nie ogołoci. Pozbawiona liści gałązka wierzbiny ma być symbolem wolnego od grzechów człowieka. Powszechnem jest mniemanie, że w wigilję Hoszana-rabba niebo na chwilę się otwiera i wszelkim pragnieniom w owej właśnie chwili wypowiedzianym staje się zadość. Wierzą także, iż wówczas wydawane są w niebie kartki z wyrokami boskiemi, zapadłemi w Dzień Odpuszczenia i że po odbiór onych wszyscy udają się po mistycznej drabinie, którą uzmysławia plecionka z ciasta zrobiona na chale (placku). Kto zaś wróciwszy wtedy

z modlitewni ujrzy na ścianie cień bez głowy, ten następnego roku nie dożyje.

Nazajutrz, t. j. „w ósmy dzień zakończenia“ wszystkich świąt uroczystych odprawia się nabożeństwo za dusze zmarłych. Każdy wypowiada życzenie, by mógł zasiąść kiedyś w namiocie ze skóry lewiatana, który ma stanąć po przyjściu mesjasza.

Ostatecznie zamyka okres świąteczny święto „Simchath-Thora“ (Radość Tory), przypadające 23-go tiszri, a obchodzone na cześć Zakonu, w dniu tym bowiem kończą się roczne odczyty Pięcioksięgu. Nazwa ta pochodzi dopiero z IX wieku. Stopniowo urastał on do godności święta niezależnego, a obrządek urobiony przed 6 czy 7 wiekami przetrwał do dzisiaj prawie niezmieniony. Przy odgłosie pieśni religijnych odbywają się dokoła ambony w synagodze już zapoczątkowane w wigilję „Simchath-Thory“ pochody, a właściwie pląsy ze zwojami tory, t. zw. hakafoth (okrążanie), którym towarzyszą mali chłopcy z chorągiewkami.

Już w XIV wieku było we zwyczaju rozpoczynać czytanie Genesis bezpośrednio po skończeniu Deuteronomium, a to z obawy przed szatanem, który skorzystałby z przerwy, by oskarżać żydów, że zakończywszy torę nie chcą przystąpić do niej nanowo. To samo praktykuje się i teraz.

Po Sukkoth żadne święto uroczyste nie przerywa przez czas dłuższy powszedniego biegu życia *).

Streścił St. Asté

---

*) I znów stoimy wobec stuprocentowej dziecinnady pojęć stosunku pierwotnego człowieka do bóstwa. Ośmiodniowe świętowanie, oparte na symbolice, na mistyce, na naiwności rozumienia przyrody i jej praw poprzez takie lub owakie potrząsanie bukietem palmowym i z „rajskiem jabłkiem“ pośrodku, przedstawianie siebie niebiosom w stanie wolnym od grzechów poprzez otrzaskiwanie liści z gałązek wierzbiny, i t. d. i t. d. — jakżeż dalekie i śmieszne jest to wszystko od dnia dzisiejszego, od wieku radja i lotów w stratosferę! I gdyby chodziło tu o zwykły nieco dłuższy odpoczynek ludzi pracy, o „urlop“ od ich kłopotów codziennych, możnaby przyklasnąć temu zwyczajowi. Ale takie święta — to nowe szczere zmartwienia ludu ciemnego, to nowe upokorzenia wobec bogatszych! Lud, trzymany przez szarlatanów w „bojaźni bożej“, nie wnika w naiwną treść wszelkich przepisów świątecznych, nie rozumie ich zresztą. Nastrojony przez swych „duszpasterzy“ wierzy, że dalsze jego marne bytowanie może się jeszcze bardziej pogorszyć przez nieprzestrzeganie wszystkich nonsensów i idjotyzmów zwyczajowych. Bo święto dla niego — to nie literackie odczytywanie zwyczajów dawnych naiwniaków rolniczych, to obowiązujące go przepisy i nakazy samego Jahwe, od których wykonywania (lanie wody) zależne jest błogosławieństwo deszczu i inne dobrodziejstwa łaskawego

bóstwa. I oto przypatrzmy się np. tragedji religijnej biedoty żydowskiej, nie mogącej podczas tych świąt kupić sobie np. drogich „rajskich jabłek“, niezbędnych przy odprawianiu modlitw (a w rzeczywistości opowiadań o folklorze ludu pasterskiego), lub odpychanych przez bogatszych szczęśliwców od drzwi ich kuczek (któż z nędzarzy może sobie postawić kuczkę?), gdy brak im odpowiednich dań świątecznych. — A wszystko to — musi pozostać nietknięte na zawsze, bo w ten sposób komentują duszpasterze dalsze dzieje żydostwa, a w obronie tych świętych „tradycyj“ stanie jak jeden mąż całe zakłamane „postępowe“ „narodowo-kupieckie“ mieszczaństwo żydowskie — choć samo kpi sobie w duszy ze wszystkich tych szałaszowych uroczystości.

Gdyby przez analogję ktoś zaczął u nas propagować myśl urządzania obowiązujących „świąt“ z nabożeństwami i kazaniami, podczas których odczytywanoby stare roczniki ludoznawczych dzieł i zwyczajów (np. „Wisły“), lub poniżanoby osoby, niemogące brać udziału w dożynkach, wiankach, w laniu wosku i t. d., tego nazwanoby chyba skończonym warjatem. A jednak u żydów wspominki o ograniczonych umysłowo praprzodkach jest wedle „uczonych“ w „piśmie“ czczeniem boga, kórego objawionych ksiąg nie należy pozostawiać bez odczytywania choćby przez jeden dzionek — z obawy wykorzystania tego momentu przez szatana.

I odnoś się tu człowieku z „powagą“ i „czcią“ dla religji innych ludzi, choć się przekonywasz, że jest to umiejętnie obmyślane omotanie umysłów „maluczkich“, aby tem łatwiej nimi rządzić. *Red.*

Piaskiem w oczy

We wrześniowym n-rze „*Pielgrzyma polskiego*“, mającym za podtytuł „zwrot do źródła chrystjanizmu“, czytamy w artykule p. t. „Namiastka religji“:

Religję określano różnemi czasy różnie. Najgłębiej sięga to określenie religji, które twierdzi, że jest ona wiarą w sens życia... Mechanistyczne pojmowanie życia dostrzega w istnieniu wzorowy ład i porządek, ale gdy chodzi o ostateczne cele życia, nie zna ich i nie uznaje.

Dla materjalizmu życie nie ma żadnego celu i sensu. Wszystkie cierpienia i dążenia istot żywych są bezcelowe i pozbawione wszelkiego znaczenia. Gdy dla religji koniec jednego świata jest początkiem innego, dla wiedzy materjalistycznej koniec życia indywidualnego i koniec światów jest ostateczny i nieodwołalny.

Religja to wielka sprawa wyrównania wszystkich ziemskich nierówności i przeciwieństw. W niej wysiłki życiowe, cierpienia i wy-

rzeczenia mają swój wielki i wysoki sens. (Oczywiście, fikcyjny, uw. a)' Religja wybiega daleko poza doświadczenia jednego pokolenia ludzkiego i okiem ducha obejmuje olbrzymie przestwory, których oko cielesne nawet przy pomocy najdoskonalszych teleskopów objąć nie może. Rzeczy niepojęte dla rozumu, ale głęboko odczute jako prawdziwe, przekłada na język serca i w pokorze wyznaje, że nie rozumie wielu spraw i zdarzeń powszedniego życia ludzkiego, lecz ufa pomimo to, iż ta siła, która powołała światy do istnienia, nie opuści ich i nie zrzeknie się opieki nad niemi.

„Pielgrzym polski" jest bezwątpienia najinteligentniejszem pismem religijnem w Polsce, aleć zawsze... religijnem. Nie byłoby sobą, gdyby nie kręciło nosem na naukę i materjalizm, który mówi tylko to, co wie, nikomu oczu nie mydli rzeczami „głęboko odczutemi, jako prawdziwe" i nie wybiega poza doświadczenie i to niejednego pokolenia, lecz właśnie trzyma się tego doświadczenia, bo tylko w doświadczeniu naukowem zamyka się to, co jest jedynie dostępną dla nas rzeczywistością. „Wiem, że się zmysłom wierzyć nie powinno, lecz ostatecznie, gdzie masz prawdę inną?" — powiada Byron. Rzecz jasna, że celami życia i jego sensem w znaczeniu religijnem materjalizm nie zajmuje się zgoła, bo nauce jeszcze nie udało się tego celu i sensu odkryć — poprostu dlatego, że ich najprawdopodobniej w świecie rozciągłym niema. Jedyny, znany nauce, sens naszego życia, jest sensem biologicznym. Wszystko inne jest tylko narkozą, opjumem, wymysłem, samoułudą, być może odczutą jako prawda, jako rzeczywistość, ale to postaci rzeczy nie zmienia. To trzeba sobie szczerze i otwarcie powiedzieć. Dla materjalisty wieczną jest tylko materja, jako całość, nie wyłączając materji, zwanej myślącą i czującą. Ale nie indywiduum. Indywiduum, to owe liście jesienne, o których pisał Rilke, zacytowany przez autora artykułu: spadają i ślad po nich ginie. Rilkiemu się zdaje, że spadają one w rękę boga[1]). To jest bardzo ładne, ale nieprawdziwe, to tylko taka sobie serdeczna potrzeba. Komu to wystarcza, niech się pociesza choćby takiemi poetyckiemi obrazami. My cenimy i kochamy poezję, ale nie zapominamy, że to poezja. Poglądu na świat nikt nie buduje na poetyckich przenośniach, mających działać na uczucie i wyobraźnię, lecz na faktach poznanej rzeczywistości.

Materjaliści, jako ludzie uczciwi, niechcący okłamywać ani siebie ani innych, dążą do wyrównywania wszystkich ziemskich nierówności za życia, a nie po śmierci. Wmawianie w naiwnych ludzi, że wszystko będzie dobrze dopiero po śmierci, jest szalbierstwem, niegodnem uczciwego człowieka. Autor powiada, że religja widzi „okiem ducha" znacznie więcej, niż można zobaczyć przez najdoskonalszy teleskop. Kto utrzymuje, że widzi więcej, niż może zobaczyć okiem cielesnem, ten jest poprostu oszustem, jeżeli nie jest człowiekiem cho-

[1]) Niewiadomo, jak pojętego: teistycznie, deistycznie czy panteistycznie? Taka ścisłość poety nie obowiązuje.

rym. Materjalista nie ufa też, że jakaś tam „siła“ która powołała światy do istnienia, nie opuści go i będzie stale opiekowała się nim, bo takiej siły nie zna i nic o niej nie wie. Przeciwnie wie, że jeżeli sam nie będzie stał na straży swego życia i nie pójdzie za wskazaniami instynktu samozachowawczego, zginie. Ten instynkt samozachowawczy, to jest wszystko, co otrzymujemy od natury na drogę życia, to jest jedyna nasza „opatrzność“. Pozatem nikt się naprawdę nami nie zajmuje, a przynajmniej nic o tem nie wiemy. Inna rzecz, że wielu ludziom potrzebna jest w życiu tego rodzaju fikcyjna opieka i wiara w to, że ktoś się nimi zajmuje, aby mogli „mieć odwagę żołnierza, który wie, że zanim stoi armja świeża“ — jak powiada najmędrszy z naszych poetów — Asnyk. Ale to zawsze będzie tylko fikcja. Grecy i trojanie Homera też dokazywali cudów waleczności, ponieważ zdawało im się, iż czuwają nad nimi bogowie olimpijscy. Ale my wiemy, że historycznie istnieli tylko grecy, a ich bogowie byli takiem samem zmyśleniem, jak wogóle wszyscy bogowie. Wierzchołek Olimpu jest tak samo oddawna znany grekom, jak Gubałówka lub Giewont zakopiańskim turystom. Śladu bogów nikt tam nie znalazł, jak nikt nie znalazł w Tatrach śpiących rycerzy Chrobrego. Dlatego chrześcijaństwo postąpiło sobie przezorniej i umieściło swoich bogów... za błękitami. Ale i tam wzloty stratosferyczne ani razu na ślad ich nie natrafiły. Nie potwierdziły ich istnienia i najpotężniejsze teleskopy obserwatorjum Lincka i na Mont Wilson. Einstein powiada, że przestrzeń jest zakrzywiona, ponieważ znajduje się w niej materja, a nie dlatego, że mieszkają w niej zmarli sprawiedliwi i święci, wciągnięci do kanonu papieskiego. Nawet „Rycerz niepokalanej“, przyznaje, iż nie wie, gdzie jest niebo, ale musi być, bo tak jest w piśmie. To dla materjalisty nie argument. To są kpiny.

A materjalizm? Posłuchajmy choćby, co mówi o nim taki bezstronny człowiek — jak Oskar Wilde:

> **Piorunują na t. zw. materjalizm, zapominając, że nie było jeszcze takiej zdobyczy materjalnej, któraby jednocześnie nie uduchowiła świata, jak z drugiej strony nie było „świtów duchowych“ a przynajmniej bardzo niewiele było takich, któreby nie starły sił życiowych na jałowe nadzieje, bezowocne dążenia i puste a zawiłe dogmaty“.**
>
> ***(Djalogi o sztuce)***

Autor, który napewno nigdy nie był ani materjalistą, ani ateistą, powiada dalej:

> **Nawet ateiści, którzy rozeszli się w swojem mniemaniu z wszelkiemi wierzeniami religijnemi, miewają chwile, w których oko ich wznosi się ku niebu i szuka najwyższego Adresata uczuć ludzkich Czegoś doznali, coś do głębi wstrząsnęło ich sercem, napełniło ich niepojętą radością i nagle spostrzegli, że ich wdzięczność, to promień duszy, który szuka sobie drogi do wielkiego Słońca wszechogarniającej Miłości.**

Przepraszamy bardzo, ale to są głupstwa, niegodne inteligentnie redagowanego pisma. Jeżeli my, ateusze, wznosimy wzrok ku niebu, to nie poto, aby szukać tam jakiegoś „adresata“ lub „słońca wszechogarniającej miłości“, czy też wyglądać stamtąd jakiejś pomocy w sensie religijnym, lecz by się zachwycać majestatem gwiaździstego nieba, bo wobec komunikatów meteorologicznych nie wypatrujemy dziś już w „niebie“ ani pogody, ani deszczu, wiedząc przytem dobrze, że, jak dotąd, deszcz i pogoda nie są od ludzkiej woli zależne. Siły sprawcze zjawisk atmosferycznych są tak olbrzymie, że nieudało się ich dotąd człowiekowi opanować. Stałoby się to wtedy, gdyby człowiek mógł zmienić nachylenie osi ziemskiej lub przenieść lodowce spod biegunów na Saharę. Jak dotąd, jest to niewykonalne. Aby zmienić nachylenie osi ziemskiej musiałby przynajmniej wyjść poza ziemię, a tu w żaden sposób nie można się od niej oderwać. Jesteśmy terrae adscripti, przypisani do ziemi, jej niewolnikami jak dawniej chłopi pańszczyźniani byli przypisani do gleby pańskiej (glebae adscripti).

Kto fikcje religijne odczuwa głęboko, jako prawdy, niech mu będzie, ale niech nie rzuca naiwnym piaskiem w oczy i nie pomawia ludzi, którzy tych fikcyj wyzbyli się stanowczo i gruntownie, o to, że „ojcze nasz“ uważają wraz z nim za „najwspółcześniejszą na wieki religję świata“, bo to tak pasuje, jak wół do karety.

H. Wr.

Międzynarodowy kongres wychowania moralnego

Po międzynarodowym kongresie geografów, po zjeździe astronomów polskich i zjeździe przeciwgruźliczym, które się odbyły w Warszawie (koniec sierpnia — początek września), odbył się w Krakowie w dniach 12—15 września r. b. międzynarodowy kongres wychowania moralnego, na który przybyli delegaci 23 państw. Obrady kongresu odbywały się w Collegium novum uniw. Jagiellońskiego. Rząd był reprezentowany przez ministra oświaty płk. Jędrzejewicza Wacława, który wygłosił przemówienie na temat trzech rodzajów moralności: jednostkowej, zbiorowej i międzynarodowej. P. minister wspomniał również o tem, że Polska miała już w XVIII w. pierwsze na świecie ministerstwo oświaty: Komisję Edukacyjną, w której szkołach odbywały się obok nauki katechizmu, wykłady moralności świeckiej. Nie wspomniał tylko o tem, że w dzisiejszych szkołach polskich (w wieku XX!), wzorowanych na świeckich szkołach francuskich z wykładem moralności zam.

religji, nikomu nawet się nie marzy o pójście w ślady Komisji Edukacyjnej, i że nauka moralności została zastąpiona w nich nauką katolicyzmu. Prof. T. Zieliński, jako prezes komitetu organizacyjnego, oświadczył, że Kongres wychowania moralnego jest dalszym ciągiem zeszłorocznego międzynarodowego kongresu filozoficznego w Pradze, ponieważ etyka wiąże się z filozofją, z myśleniem. Najwznioślejsze jednak ideały etyczne, wypracowane przez filozofów moralistów, są i będą niczem, jeżeli nie znajdą swego wyrazu w ludzkiem postępowaniu. Postęp moralny od tego właśnie zależy, czy dana społeczność zdolna jest wprowadzić w czyn nowe ideały etyczne. Aby zaś była zdolna to uczynić, musi być odpowiednio wychowana. Czyli za teorją musi przyjść praktyka (szkoła, nauczyciele, wychowawcy), bo inaczej świat pod względem moralnym nie ruszy z miejsca. To też mówca położył na to specjalny nacisk, oświadczając, że „od starożytności moralność nie postąpiła naprzód w sposób widoczny". Tem oświadczeniem prof. Zieliński wystawił złe świadectwo etyce chrześcijańskiej, a jeżeli chodzi o stosunki polskie — katolickiej, t. j. właśnie tej etyce, która jest dotąd oficjalną etyką „odrodzonego" państwa polskiego. Prof. Zieliński napiętnował następnie wojnę i „moralność wojenną", pomimo, że słuchał go minister-pułkownik.

Następnie wszedł na trybunę inicjator międzynarodowego ruchu etycznego, M. F. J. Gould z Anglji, b. nauczyciel szkoły powszechnej, dostojny siwy starzec o uduchowionym wyrazie twarzy, będący chodzącą ideą wychowania moralnego, którą szerzy od r. 1908 i zorganizował już sześć podobnych kongresów międzynarodowego wychowania moralnego. Nawiązawszy do Mickiewicza i Kościuszki, Gould wyraził pełną przekonania nadzieję, iż przyjdzie dzień, kiedy wszystkie narody, rasy i cywilizacje zrozumieją, że wiąże ich jedna wspólna nić wszechświatowego braterstwa, i że stary spadek po dzikich przodkach: wojna, okrucieństwo, niewolnictwo, nienawiści rasowe, wyznaniowe i narodowościowe oraz brak wyrozumiałości wzajemnej zostaną przezwyciężone i pokonane.

Po tych wstępnych przemówieniach, przystąpiono do obrad. Referaty wygłosili: Prof. Brunschwig z Paryża o siłach moralnych wspólnych wszystkim ludziom, o skuteczności wychowania moralnego i o jego niewątpliwem powodzeniu. Prof. Peterson z Jeny (hitlerowiec) mówił o narodowo-politycznem kształtowaniu moralności ludzkiej, a prof. Halecki o rozbrojeniu moralnem, wspomniawszy o polskiej tezie rozbrojenia moralnego, złożonej Komisji rozbrojeniowej.

Prof. Petersonowi, który odrodzenie moralne świata widzi wyłącznie w nacjonalistycznym rasiźmie i kulcie państwa, odpowiedział prof. Sorbony paryskiej, Celestyn Bouglé, podczas przemówienia w sekcji moralności i pracy, że szowinizm i rasizm są zaprzeczeniem i karykaturą wychowania moralnego w duchu wszechświatowego braterstwa ludów.

Jednocześnie zaczęły pracować w sąsiednich aulach sekcje: moralności i pracy, literatury dziecięcej i podręczników szkolnych, koedukacji, porozumienia międzynarodowego przez młodzież i in. W pracach sekcyj brało udział b. wiele niewiast, cudzoziemek i polek.

Po inauguracyjnem posiedzeniu uczestnicy kongresu zwiedzili wystawę korespondencji młodzieży szkolnej różnych krajów prowadzonej pomiędzy sobą.

Niektóre listy są poprostu wzruszające. Przekonywają one, że gdyby nie państwa, nie politycy, nie kościoły, nie szowinizmy, endecyzmy i rasizmy, gdyby nie plugawa atmosfera domowa, zatruwająca od najmłodszych lat duszę dziecka nienawiścią do obcych — młodzież sama wyrównałaby bardzo prędko różnice, dzielące ludzkość na zwalczające się nawzajem grupy: rasowe, narodowe, polityczne i wyznaniowe.

Kongres — wbrew utartej w Polsce praktyce — odbył się bez nabożeństwa. W dodatku różne świeckie mędrki — niewątpliwie żydy i masony, — gadały wciąż o różnych potępionych przez kościół rzeczach, jak koedukacja, etyka naukowa i in. Ze stanowiska polskich konkordatowych stosunków wszystko to razem wzięte nie miało nic wspólnego z „moralnością" w cudzysłowie, co w kraju uszczęśliwianym skarbami wychowawczemi nieskończonej wartości, może mieć skutki wychowawcze poprostu fatalne.

Na kongresie zabierali głos również i księża (Wójcicki, Krzesiński i inni), starając się przekonać obecnych, że prawdziwe skarby wychowawcze posiada jedynie kościół katolicki — i że innych Polsce i światu nie trzeba.

Z. K.

Gorzkie pigułki

Sprawa piekła. Kiedyż chrześcijanie zdecydują się nakoniec, w co wierzyć? Naprzykład w kwestji piekła. Inteligetni ludzie wiedzą, że kościoły nie odważają się ogłosić otwarcie piekła za oczywisty nonsens. Połowa przynajmniej wiernych wierzy jeszcze w nierozwodnione piekło, a druga połowa uważa je za „alegorję". Redaktor „British Weekly" mówiąc o ostatniej wojnie określa ja jako „piekło — nie zwykłe teologiczne piekło — lecz miejsce dyszące ogniem i siarką". Ten szczęśliwy zwrot „zwykłe teologiczne piekło" jest równie dobry, jak „żona w obliczu boga".

Z deszczu pod rynnę. Pastor Meirion Davies odkrył: „niezawodne lekarstwo na faszyzm i bolszewizm". Jest to poprostu „uznanie Jezusa Chrystusa za naszego pana". Jakakolwiek dyktatura jest widocznie lepsza od żadnej.

Moderniści naprzód! Jedna z najświeższych teologicznych książek, „Ewangelja modernizmu" przez pastora R. D. Richardsona, odrzuca niepokalane poczęcie i zmartwychwstanie. Modernistom pozostaje tylko odrzucić cuda oraz ukrzyżowanie i postawić legendę o Jezusie narówni z opowieścią o Aladynie. Chrześcijaństwo będzie się może wtedy nazywało modernizmem, ale wielu ludzi nazwie je zgoła inaczej.

Mesjanizm niemiecki. Hitlerowcy publikują teraz książki, wynoszące pod niebiosy naród niemiecki. Oto dwa wyjątki z „Der Christiche Staatsman": „Niemcy są macierzą wszystkich narodów" i „Spójrzcie na maszerującą młodzież niemiecką, a zdacie sobie sprawę z tego, że jest stworzona przez boga. Wojna jest jej sztuką, a panowanie jej zawodem". Spengler zaś oświadcza w „Verlag": Prawdziwy internacjonalizm — to imperjalizm. Jest to rządzenie światem nie zapomocą dostosowania się i ustępstw, lecz zwycięstwa i wytępienia". Zwycięstwo i tępienie innych zdają się być zawsze przywilejem ludów specjalnie stworzonych przez boga, na szczęście nawet naród wybrany ponosi czasem klęskę. Przed 1914 r. militaryści niemieccy wypisywali podobne rzeczy. Zastanawiamy się nad tem, coby myśleli Szyller i Goethe o pisarzach hitlerowskich.

Pusty żołądek nie sprzyja rozmyślaniom teologicznym. P. Sidney Dark powiedział na zebraniu Stow. chrześcijańsko przemysłowego, że „jeśli ludzkość nie zdobędzie się na chrześcijańską rewolucję, nastąpi niechybnie rewolucja antychrześcijańska". Możemy zapewnić p. Darka, że mamy już wielką rewolucję antychrześcijańską, odbywającą się pod samym jego nosem. Inny mówca, p. Parsons, zauważył, że „ludzie zajmują się teraz więcej zegadnieniami moralnemi, niż kwestją prawdziwości chrześcijaństwa". Pewnie, że ludzie pozbawieni pracy i pożywienia nie mogą się interesować tysiącem książek napisanych celem udowodnienia autentyczności ewangelji lub też problematem, czy mury Jerycha istotnie runęły na dźwięk trąb kapłanów.

O pochwalaczach reżimów. Pochwały ustalonego porządku i dzierżycieli władzy są zawsze podejrzane. Mogą być miłe, mogą być prawdziwe, lecz zwykle są niepotrzebne. Rzucają często więcej światła na charakter osoby chwalącej, niż osoby, która pochwałę otrzymuje.

O tchórzach intelektualnych. Ludzie wstydzą się przeważnie tchórzostwa fizycznego, lecz mało z nich wstydzi się tchórzostwa intelektualnego. W tym ostatnim wypadku wydaje im się dostateczną wymówka, że byłoby niebezpiecznem wypowiedzieć swoje poglądy lub że jest nierozsądną rzeczą sprzeciwiać się większości. A jednak następstwa tchó-

rzostwa fizycznego najczęściej ograniczają się do osoby tchórza, podczas gdy w dziedzinie intelektualnej przemilczenie poglądu może być zatajeniem czegoś niezmiernie ważnego dla ludzkości. Ukrywanie własnych przekonań wytwarza w innych ludziach wrażenie, że zgadzasz się z ich opinją: w ten sposób popierasz fałsz.

W trosce o „obrót". Kontrola urodzin krok za krokiem toruje sobie drogę w Stanach Zjednoczonych. Pewien sąd przysięgłych w Texas po zbadaniu warunków, w których się rodzą zbrodnie, uznał jednomyślnie niezbędność kontroli urodzin. Pastor George Wilhelm występuje ostro przeciw tej uchwale; zdaniem jego „przysięgli są w błędzie moralnie, psychologicznie i fizycznie; prawa natury są ponad sędziami" i najwidoczniej poniżej poziomu purytańskiego kapłana.

Różne miary zażywania religji. Pastor A. E. Whitham pisze: „Nie należy sądzić religji po marnych jej odmianach, rozsypanych na wybrzeżach historji". Jakież inne mamy kryterjum? P. Whitham mówi żartobliwie o dwóch typach ludzi „jeden bierze homeopatyczną dozę religji, drugi pije ją jak mocną wódkę: pierwszy typ jest niezadowalający, drugi — niemiły". A gdyby tak rozcieńczyć religję wodą — całemi wiadrami wody?

Kombatanci. Jedno z pobożnych pism podkreśla fakt, że „Genewa i Rzym, kalwiniści i katolicy walczą ramię przy ramieniu ze wspólnym wrogiem — ateizmem". A im bardziej zbliżą się do siebie, tem jaśniej dowiodą światu nierealności swych niedorzecznych sporów, które zalały ziemię krwią i usprawiedliwiały wszelką formę nienawiści i wszelkie tortury pod pretekstem, że jedna sekta była natchniona duchem bożym, a druga przyjaźniła się z szatanem.

Aktualność biblji. Zdaniem burmistrza Lambeth, „biblja jest najbardziej nowoczesnym podręcznikiem świata". Niewątpliwie pełno w niej „przepisów" dotyczących niewolnictwa, mordowania jeńców wojennych oraz wszystkich niewiernych i t. p. rzeczy. Są nawet lekcje kucharskie (Ezechiel IV, 12) dość osobliwego rodzaju. Ale szanowny burmistrz musi chyba być „modernistą", jeśli nazywa te instrukcje „nowoczesnemi". Są one stare, jak Jehowa.

Potem — a więc wskutek tego. Niebawem spadnie deszcz. Nie przewidujemy tego na zasadzie rachunków meteorologicznych, lecz opieramy się na prostym fakcie, że biskup Londynu zarządził 17.VI. modły o deszcz. Zauważyliśmy, że *w jakiś czas* po modłach zawsze spada deszcz. Mniejsza o to, czy ten czas jest długi czy krótki, wkońcu jednak deszcz przychodzi i to usprawiedliwia wierzenie, że deszcz przyszedł dzięki modlitwom. W przeciwnym razie pocóżby się modlono?

Z „Freethinker'a"



0

0 = chaosowi
i t. d. od 1—8
Podług dzieła Leo Taxil
Paris, 1903—1904

(d. c. n.)



1



2



3



4



5



6



7



8

Jeżeli mamy rozumieć pod „pojęciem religijnem“ pojęcie boga t. j. istoty nadziemskiej, która kieruje losami świata i ludzi, to pojęcie owo, mojem zdaniem, zanika stopniowo i musi zniknąć niechybnie. Ludzie moralni i rozumni nie potrzebują boga, ani nakazów kościelnych; pojmują oni, że świadomość wartości człowieka rozwija się jedynie pod wpływem sztuki i wiedzy; widzą, że religja waśni ludzi, budząc wzajemne antagonizmy i że sama tylko wiedza może dać im duchową jedność.

Maksym Gorkij

Kronika

Z UTRUDNIEŃ DLA DZIAŁALNOŚCI NASZYCH KÓŁ

W dniu 22 września rb. Koło toruńskie naszego Związku pragnęło zorganizować odczyt publiczny ob. Juljusza Goreckiego p. t.: „Rzym a Polska w twórczości Słowackiego“ (powtórzenie odczytu warszawskiego z dn. 8.IX.). Starostwo odmówiło pozwolenia na odczyt „ze względów na bezpieczeństwo publiczne“. Wówczas organizacja zwołała do lokalu T. U. R. zgromadzenie niepubliczne, za zaproszeniami, na którem ob. G. m. in. miał wygłosić powyższy odczyt.

Niestety, i tu trafiła policja, i chociaż wszyscy obecni posiadali bądź legitymacje związkowe, bądź zaproszenia, urzędnik nie dopuścił do odczytu.

Miał pono specjalny w tym względzie nakaz.

Czy wiedzą o tem wyższe władze miejscowe i warszawskie?

Czy wpływ kleru toruńskiego jest tak silny, że nie sposób tam mówić o Słowackim?

Urzędowe stereotypowe wyjaśnienie starostwa o „bezbieczeństwie publicznem“ jest w tym wypadku zbyt naciągnięte, aby brać je poważnie!

Toż w lokalu TUR, zebrało się pełno osób i żadne niebezpieczeństwo nikomu nie groziło. Poco więc straszenie zgóry siebie i publiczności, skoro niema do tego żadnej podstawy!

Wobec powyższego faktu czelność kleru bardziej jeszcze się spotęguje, a to nie leży w interesie państwa!

Do niesłychanej tej sprawy powrócimy jeszcze.

Z KOŁA PZMW W POZNANIU

W dniu 23 września r. b. w sali „Loży“ w Poznaniu ob. Juljusz Górecki wygłosił odczyt p.t.: „Rzym a Polska w twórczości Słowackiego“. Sala była przepełniona.

Organizacja odczytu była doskonała.

NA KONGRES EUCHARYSTYCZNY

Donoszą nam z Triestu, że następujące osoby udały się przez Triest do Buenos Aires, jako przedstawiciele katolików polskich:

1) szambelan Stefan Cybichowski, architekt z Poznania,
2) kard. August Hlond (za paszportem dyplomatycznym, używanym również dla poratowania zdrowia w Karlsbadzie — nie w Lourdes),
3) młody jego sekretarz ks. I. Glinka,
4) radca kancel. prymasa dr. Stanisław Janicki,
5) proboszcz Marjan Jezierski,

6) bisk. ks. dr. Tadeusz Kubina (za paszportem dyplomatycznym, albowiem p. K. jest „politykiem"),
7) Feliks Malarski,
8) bisk. Okoniewski,
9) bisk. Karol Radoński,
10) ks. red. Nikodem Radoński,
11) Bronisława Siwecka.

Wobec skrajnej niezamożności wszystkich „delegatów", wyjechali oni za ulgowymi paszportami po 80 zł. oraz z bezpłatnymi wizami wszystkich państw.

ZE ŚWIATOWEGO ZJAZDU POLAKÓW

Odbyty w sierpniu II-gi Wszechświatowy Zjazd polaków z zagranicy, zwołany przez Radę Organizacyjną polaków, miał na celu zjednoczenie 8 miljonowego wychodźctwa polskiego w jednej wspólnej organizacji poddanej jednemu kierownictwu. Tego rodzaju zjednoczenia wychodźców mają miejsce we Włoszech, w Irlandji, w Niemczech... Wszystkie zagraniczne Polonje do związku tego przystąpiły, natomiast odmówiła swego przystąpienia Polonja Amerykańska (ze Stanów Zjedn. A. Pn.) pod wodzą ks. prałata Szpotańskiego. Ten pan uważał widocznie przyjście do skutku tego rodzaju zjednoczenia za rzecz niemożliwą dla kleru katolickiego, który tą Polonją kręci jak chce.

W związku z tem w „liście ks. Świeczki" znajdujemy w „Ameryka-Echo" (9.IX.) następujący ustęp:

> „Obrazili się na nas (księży amerykańskich) warszawiacy, żeśmy się im okoniem postawili i na żadne ich statuty i propozycje się nie zgodzili, ale to nas ani grzeje ani ziębi. Nam żaden związek światowy polaków nie jest potrzebny, bo my mamy nasz wspólny związek, z główną siedzibą w Watykanie, i to nam zupełnie wystarcza, a wszyscy polacy powinni przecież być katolikami, a wtedy nikogo w tym związku nie braknie.
>
> Naturalnie panom w Warszawie idzie o co innego i choć się kardynałem Hlondem zasłaniają, jak tarczą, to jednak mają swoje świeckie cele na oku i dlatego nie widzimy powodu, dlaczego właściwie my im mamy pomagać naszą powagą kapłańską.
>
> Ostatecznie zapiliśmy całą sprawę w Krakowie, gdzie odbyliśmy małe konklawe i postanowiliśmy pozostać jeszcze czas jakiś w Polsce, aby rządowi wytłumaczyć, iż poza klerem naszym niema z kim w Ameryce mówić. Poprostu nie warto. Jeśli rząd to zrozumie, to może jeszcze damy się przeprosić i pozwolimy z sobą rozmawiać.

Zachowanie się Polonji amerykańskiej może nareszcie otworzy oczy naszemu rządowi, że nie można nadal pracować na emigracji z papieskimi parobkami, lecz że całą naszą pracę ku zjednoczeniu wychodźctwa amerykańskiego z innymi Polonjami należy oprzeć na Polsko-amerykańskim kościele narodowym, jeżeli jakakolwiek praca w tej dziedzinie z kościołami jest potrzebna.

Nie obeszło się na zjeździe i bez szykan ze strony amerykańskich watykańczyków, w stosunku do delegatów wyznania „narodowego". Mianowicie chciano im zakwestjonować ważność mandatów delegackich, ale to bogobojne łotrostwo się nie udało.

Mamy tu do zanotowania jeszcze jeden charakterystyczny szczegół. Przy zwiedzaniu Muzeum Polaków Zagranicą w Poznaniu, księża, przybyli z wychodźcami amerykańskimi, nie chcieli wejść do środka, ponieważ w zarządzie Tow. przyjaciół tego Muzeum jest prof. Ułaszyn. Dopiero, gdy zobaczyli, że Hlond rozmawia z prof. Ułaszynem, weszli już bez obawy splugawienia się czy strefienia.

W Muzeum tem znajdują się eksponaty nadesłane w r. 1929 przez Polonję amerykańską na Pow. Wystawę Krajową w Poznaniu. Nadesłał wówczas swoje eksponaty i polsko-amerykański kościół narodowy, lecz katolicko-prawowierna dyrekcja P. W. K. nie wystawiła ich i przez lat 5 przeleżały one w skrzyniach. Dopiero teraz można je oglądać w jednej z sal poznańskiego Muzeum.

ZSRR W LIDZE NARODÓW

W dniu 18 września Związek sowiecki został przyjęty (na zaproszenie) do Ligi Narodów i otrzymał stałe miejsce w Radzie Ligi[1]). Stało się to na wniosek Francji, zabiegającej o pakt wschodni przeciwko Niemcom z Rosją na czele.

Przeciwko temu przyjęciu sowietów do Ligi Narodów protestowali delegaci Szwajcarji (Motta), Irlandji (de Valera[2]), Holandji, Portugalji i Argentyny. Motywem tych wstrętów były „prześladowania religji w sowietach". Delegaci wspomnianych pięciu państw, głównie Szwajcarji i Irlandji domagali się zapewnienia ze strony ZSRR, że z chwilą wejścia do Ligi, zejdzie z dotychczasowego stanowiska antyreligijnego i przywróci wolność religijną; w przeciwnym razie „trudno będzie mówić o pokoju, gdyby cały świat chrześcijański stracił zaufanie do Ligi Narodów" (przemówienie de Valery, zob. dzienniki z 19.IX). Ale nikt w Lidze ani myślał zająć się poważniej temi zastrzeżeniami. Min. Barthou zbył je kilkoma frazesami, oświadczywszy przytem, że jest wolnym myślicielem bardzo lubiącym... praktyki religijne (zob. IKC Nr. 261). Były to oczywiście „dyplomatyczne" kpiny. Na te zastrzeżenia odpowiedział dopiero sam Litwinow w swojej pierwszej mowie. Oświadczył on w niej, że zaproszenie Sowietów do Genewy jest wynikiem ewolucji, jaką przeszły stosunki pomiędzy ZSRR, a państwami, należącemi do Ligi i że poprzednia wrogość tych państw do nowego, całkiem odmiennego od wszystkiego, co było dotychczas ustroju sowieckiego, ustąpiła realnej po-

---

[1]) Stosunek Rady Ligi do Zgromadzeń Ligi jest mniej więcej taki, jak stosunek władzy wykonawczej do ustawodawczej.

[2]) Papież mu za to specjalnie podziękował.

trzebie współpracy sowietów z Ligą. Dzisiaj — mówił Litwinow — rad jestem, mogąc stwierdzić, że wśród mężów stanu głównych krajów niema już zwolenników polityki izolowania ZSRR. Są jeszcze coprawda politycy o ciasnych umysłach, którzy nie potrafią wyzbyć się swoich przesądów i którzy czerpią swe wiadomości o innych narodach z wątpliwych źródeł. Ale jestem przekonany, że Liga Narodów będzie czuwała nad tem, aby nie mogli oni mieszać się do załatwiania spraw, interesujących bezpośrednio związek sowiecki.

Ci politycy o ciasnych umysłach, nie umiejący wyzbyć się mimo wszystko swoich przesądów i chcący mieszać się do spraw, interesujących bezpośrednio związek sowiecki, to oponenci.

Liga Narodów przyjęła mowę Litwinowa oklaskami i w ten sposób przeszła do porządku nad zastrzeżeniami pp. Motty i de Valery, puściwszy je mimo uszu.

OBRAZEK RODZAJOWY

Przy ul. Przechodniej w Warszawie koncentruje się handel „rajskiemi jabłkami“ (jedyna zapewne pamiątka po raju pp. Adamostwa). Przed świętami Kuczek specjaliści chodzą od sklepu do sklepu w poszukiwaniu najbardziej „koszernych“ sztuk owych jabłek. Im bardziej brodaty i pejsaty jegomość, tym uważniej bada, czy aby owoc niema jakichś drobnych plamek lub odcieni. Nie je tych jabłek, tylko obowiązany niemi trząść w bóżnicy razem z wiechciem z gałęzi oliwnych i mirtowych, nie może więc rebe dopuścić do strefienia nabożeństwa, gdyby „nie daj boże!“ jabłko posiadało rożne odcienia.

Trzeba przyjrzeć się tym twarzom oglądającym przez szkło powiększające każdy milimetr kwadratowy powierzchni jabłka, aby bardziej jeszcze utwierdzić w sobie opinję o tych obłąkanych z religji dzikusach. Taki stękający nad jabłkiem cudak znajduje wkońcu idealnie wyglądający owoc, jest pewny, że Jahwe poklepie go z zadowolenia po plecach, ale nie interesuje się, że „wybrakowane“ przezeń sztuki dostaną się biedniejszym jego współwyznawcom, których dlatego bóstwo zawsze upośledze. Dzicz, nic więcej.

Z CHARYTATYWNYCH PRAKTYK ENDECJI

Władze administracyjne wykryły, że redakcja „Głosu lubelskiego“, organu tamtejszej endecji, nawołująca stale do składania ofiar na różne cele filantropijne, obracała od lat sześciu wpływające jej z tych źródeł pieniądze na swój fundusz wydawniczy. Uzbierało się tego 14.000 zł. Starosta lubelski wezwał wydawnictwo do wpłacenia tej kwoty do kasy skarbowej, sumę zabezpieczył na wszystkich ruchomościach wydawnictwa i przekazał sprawę władzom prokuratorskim.

Wśród ofiar znalazły się pokaźniejsze sumy na bezrobotnych, na sieroty, na misje, na „chleb św. Antoniego“, (na dożywianie dzieci) a nawet na „najbiedniejszych żydów“.

Że endecja zrobiłaby wszystko, aby wygubić żydów, temu się nie dziwimy, ale dziwimy się, że uznała w swojem katolickiem sumieniu za rzecz dopuszczalną dożywiać się chlebem św. Antoniego i trwonić pieniądze misyjne. Wprawdzie misjonarze i tak te pieniądze strwonią, ale na to odpowiedziałby każdy watykańczyk-papista, że to nie jest rzecz endecji, tylko papieża i misjonarzy. W rezultacie wychodzi na to, że „Głos lubelski“ okradł samego papieża. A to cięższy grzech dla endeka, niż okraść bezrobotnego lub sierotę.

ARGUMENT NAJCIĘŻSZEGO KALIBRU

Proboszcz kościoła marjackiego w Krakowie przystąpił do wzniesienia na tyłach kościoła kilkopiętrowej wikarówki, a właściwie domu dochodowego ze sklepami od frontu. Ponieważ ta plebańska „realność“, jak mówią w Małopolsce, zasłoni widok na kościół, IKC wszczął akcję za niedopuszczeniem do wzniesienia wikarówki. W tym celu używa różnych argumentów, aby poruszyć opinję publiczną. Ponieważ wszystkie one jakoś nie skutkowały, puścił w świat 18.IX (Nr. 260) argument najcięższego kalibru, że wikarówkę buduje... spółka żydowska. To dla IKaCego jest hańbą narodową, wydrukowaną tłustym drukiem. Dowiedzieliśmy się przytem, że magistrat m. Krakowa sprzedał bez pieniędzy proboszczowi Kulinowskiemu, czyli papieżowi, teren wartości 260 tys. zł.

Bezpłatny dodatek „Błysków“ nr. 12 zostanie dołączony do następnego numeru

Z prasy

Jeszcze na temat: „Katolicyzm a polskość — to jedno“.

Arcyendecki i arcyklerykalny, czyli arcy klero-endecki „Kurjer poznański“ musiał widocznie zapomnieć, czem jest, bo nistąd nizowąd zamieścił d. 22.VIII b. nielojalny w stosunku do kleru katolickiego artykuł o życiu 8 tysięcznej rzeszy polaków w Danji, w którym czytamy:

„Wraz z wzmożeniem się samopoczucia wśród wychodźctwa polskiego po wojnie wysuwać zaczęli nasi wychodźcy coraz usilniej postulat szkolnictwa polskiego dla młodego pokolenia. Ponieważ istniejące gdzieniegdzie przy parafjach katolickich szkółki, gdzie sporadycznie kilka zakonnic polskich, udzielało lekcji języka polskiego, nie zadowalały rodziców polskich, przystąpiło poselstwo polskie w Kopenhadze razem z ministerstwem wyzn. relig. w Warszawie do żywszej akcji szkolnej. W rezultacie zaczęły powstawać w okolicach najbardziej zamieszkałych przez polaków szkoły polskie. Są to szkoły o typie powszechnym, gdzie nauka odbywa się zwykle co drugi dzień, przez co umożliwione jest dzieciom uczęszczanie także do szkół powszechnych

duńskich. Władze duńskie traktują szkoły polskie ze zwykłą w kwestjach wychowawczych w Danji tolerancją.

Jedynym przeciwnikiem szkolnictwa polskiego w Danji, jak i we wszystkich przejawach życia organizacyjnego naszego wychodźctwa, jest tamtejsze *duchowieństwo katolickie*. Składa się ono prawie wyłącznie z niemców, flamandów i holendrów, którzy postawili sobie za zadanie zasymilować jak najprędzej element polski i udowodnić przez to rację istnienia „duńskich" parafij katolickich i hierarchji kościelnej na terenie Danji wogóle, zwłaszcza, że napływ wiernych z pośród rodowitych duńczyków jest nieznaczny. Ponieważ rząd duński nie ingeruje w kwestje życia narodowego i religijnego polaków zupełnie, z tem większem zacięciem pozwala sobie kler na występy antypolskie. Próby zainstalowania na stałe księży polskich w Danji nie powiodły się, wobec czego wychodźctwo liczyć musi w akcji obronnej na własne siły.

Więc pluderski rząd duński pozostawia emigracji polskiej całkowitą swobodę rozwoju życia kulturalnego, a „polski", bo „katolicki" kler tamtejszy chce ją za wszelką cenę zduńszczyć. Źle się więc dzieje nietyle w państwie duńskiem, bo tam wbrew temu, co mówi Hamlet, dobrze się dzieje, tylko w państwie klero-endeckiem w Polsce. Gdy się do tego doda germanizowanie naszego wychodźctwa przez kler katolicki na Śląsku Opolskim i w Nadrenji, rusyfikowanie naszych kresów wschodnich przez jezuitów, amerykanizowanie naszego wychodźctwa w Stanach Zjednoczonych, litwinizowanie polskiego elementu na Litwie, czechizowanie w Czechosłowacji, romanizowanie w Rumunji, latwinizowanie na Łotwie i t. d. mamy doskonały przykład, ile kryje się cynizmu i przewrotności w demagogicznem powiedzonku naszych czarnych wyświęceńców papieskiej wiary, że „katolicyzm a polskość — to jedno". Nawet próby zaintsalowania nastałe w Danji księży polskich nie powiodły się. A jeżeli się nie powiodły, to nikt inny temu nie jest winien, jeno błogosławiący Polsce przy każdej sposobności Watykan, któremu klero-endecka rada m. Warszawy, złożyła za to w ofierze ulicę Piękną.

Powiedziawszy „a", „Kurjer poznański" mówi już i „b" taką oto swój akt oskarżenia zamyka konkluzją:

...W obliczu otwartego zadrażnienia stosunków kościelnych, odbywa się wśród wychodźctwa proces powolnego obojętnienia na sprawy kościoła i asymilowania się pod względem religijnym z otoczeniem. — Społeczeństwo miejscowe duńskie, formalnie należące do kościoła protestanckiego, jest przeważnie wolnomyślne, jak też i wychowanie młodzieży w szkołach duńskich odbywa się w atmosferze areligijnej. Ponieważ całość kultury duńskiej ma wpływ przyciągający na emigranta polskiego, przeto i w tej dziedzinie robi asymilacja swoje postępy.

Nie mamy nic przeciwko temu, że nasze wychodźctwo w Danji wolnomyślnieje i cywilizuje się. Dziwi nas tylko brak konsekwencji w myśleniu naszych polskich hitlerowców w stosunku do czarnej mafji watykańskiej, wlokąc się wiernopoddańczo ze swoim nacjonalizmem w ogonie papieskiego internacjonalizmu. Ot, takie sobie kruchciane fagasy—i nic więcej. Ale mimo to, nie przestają dalej utrzymywać, że katolicyzm a polskość — to jedno, bo na to można jeszcze brać polskich głupców i pędzić do urn wyborczych.

OD ADMINISTRACJI

Uprasza się o uiszczenie prenumeraty za kwartał IV-ty.

Czek Nr. 14200 załącza się.

Kto zalega z opłatą winien bezzwłocznie uregulować należność.

Wstrzymanie zapłaty podrywa byt wydawnictwa.

ODCZYTY W POLSKIM ZWIĄZKU MYŚLI WOLNEJ
Warszawa, Królewska 16

W dniu 6 października 1934 r. w sobotę o godz. 8 wiecz. ob. *Amelja Kurlandzka* wygłosi odczyt p. t. „ROBERT INGERSOLL, WIELKI WOLNOMYŚLICIEL AMERYKI PÓŁNOCNEJ"-

W dniu 13 października 1934 r. w sobotę o g. 8 wiecz. odbędzie się obchód ku czci FRANCISZKA FERRERA w 25-tą rocznicę stracenia. Udział wezmą ob. ob. *Iza Zielińska, Henryk Wroński, Władysław Poniecki, Leo Belmont.*

PRENUMERATA WOLNOMYŚLICIELA POLSKIEGO:
(łącznie z „Błyskami wolnomyślicielskiemi")

rocznie	zł. 20.00	miesięcznie zł. 1.75
półrocznie	„ 10.00	numer pojedynczy 60 gr.
kwartalnie	„ 5.00	zagranicą 25 zł. rocznie

PRENUMERATA „BŁYSKÓW" (bez „Wolnomyśliciela Polskiego")

Za 1 egz. rocznie	zł. 1.20	Za 10 egz. rocznie	zł. 9.00
„ 5 „ „	„ 5.00	„ 10 „ półrocznie	„ 4.50
„ 5 „ półrocznie	2.50	„ 10 „ kwartalnie	„ 2.25

10 egzemplarzy zagranicą zł. 14.— rocznie

Adres **Redakcji i Administracji:** Warszawa, Królewska 16, telef. 218-14.
Konto czek. P. K. O. 14.200.

Redaktor **Józef Wroński**. Wyd.: **„Wolność" sp. z o. o.**

Druk L. Wolnicki, Długa 46.